

ANDRÉ DE LORDE.

Bal maskowy.

Hrabina de Lerne zorganizowała tego wieczora bal maskowy w swoim mieszkaniu przy Avenue du Bois.

Trzy lata upłynęło od czasu, jak mąż ją opuścił; długie trzy lata, podczas których w bólesci pogrążona prowadziła bardzo odosobnione życie.

Ta zabawa, pierwsza, którą urządziła, miała ją ponownie w świat towarzyski wprowadzić. Wnoszono z tego, że pocieszona już, nie jest obojętną na zaszczytne konkury monsieur de Latoure, młodego attache poselstwa. W kostjumie markizy z XVIII wieku mocno wydekoltowana z krótkimi rękawami o trzech rzędach mankietów, z łańcuchem pereł w biało upudrowanych włosach robiła z niezrównanym czarem honory domu.

O północy większość gości zdjęła maski, za wyjątkiem czterech panów, którzy ze śmiechem się temu opierali. Jeden szczególnie był nieublagany. Ubrany w kostjum weneckiego szlachcica z XVI wieku z dziwną gracją nosił przebogaty strój. Mało się udzielał towarzystwu i z dumy pełną melancholią, trzymając rękę na rękojeści swej szpady, mierzył wolnym krokiem posadzkę salonu. Daremnie starano się odgadnąć jego nazwisko. Wszystkie pytania zbywał milczeniem, lub zmienionym głosem odpowiadał kilku włoskimi słowami.

Ostatni z gości bal opuścił, nie zdradzając nikomu swego incognito. Madame de Lerne udała się do swej ubieralni, gdzie Marie, jej garderobiana czekała, by pani swej przy zdejmowaniu toalety przyjąć z pomocą.

Marie była jej bezgranicznie oddana, nie jak zwyczajna pania służąca, lecz najzauważalsza przyjaciółka.

— Pani hrabina pewnie bardzo zmęczona — mówiła Marie — trzecia godzina już dochodzi.

— Ależ nie — odparła z ożywieniem Madame de Lerne — Ami trochę. Wstyd mi przyznać, że się trochę bawiłam... tyle światła, kostjumy, muzyka, gwar... zdaje mi się, że chyba... jestem już zmęczona!

— Ach, zauważyłam to! Pani hrabina była najpiękniejszą ze wszystkich pań i bardzo wesoło rozmawiała z Monsieur de Latour, który jej tak często kwiaty przysyła...

— I za którego wszyscy myślą, że zamaż wyjdę, gdy się na rozwód zdecyduje...

Madame de Lerne zamilkła.

Marie zdjęła łańcuch pereł z jej kunsztownie ufryzowanej główki, rozczesala loki, zsunęła suknię i narzuciła zdobny w koronki peniar.

— Czy pani hrabina położy się teraz do łóżka?

— Ach, nie jestem ani trochę senna.

— Doprawdy? Tak już późno!

Mały starożytny zegar, stojący na stoliku, wybił godzinę czwartą.

— Ostatni podarunek od mego męża — szepnęła Madame de Lerne. Kiedy głowę do góry podniosła, ujrzała pytający wzrok Marie w nią utkwiony.

— Czy chcesz jeszcze czego?

— Muszę ciągle o jednej masce myśleć...

— O której?...

— O weneckim szlachcicu. Miał taki piękny kostjum ze złota, jedwabiu i koronek. Czy zdjął maskę?

— Nie. Trzech czy czterech panów, mimo usilnych próśb, nie chciało się zde-maskować. Nie wiadomo co to za jedni.

— Ja uważam, że wenecki szlachcic jest bardzo podobny do naszego pana.

— Śmieszna jesteś! Cicho bądź! Jakżeby się mógł ośmielić...!

— On panią hrabinę ciągle jeszcze kocha...

— Nie pleć takich bzdurstw! Daj spokój!

Madame de Lerne była biała jak płótno. Ach, jakże ona kochała jeszcze swego męża... Serce biło mocno... Zakryła oczy dłonią, chciała wstać, ale opadła znowu w fotel. On, on, u niej w domu, który dawniej był jego domem! Ale nie, to niemożliwe... Nie posiadał tej śmiałości. Gdyby ją kochał, napisałby do niej, poprosił o rendez-vous. Usiłując opanować swe wzruszenie — uśmiechnęła się.

— Obserwowałam go — upierała się przy swoim Marie — Ma taką samą figurę i chód, jak nasz pan. To są jego oczy, ciemne i błyszczące; takich oczu nie ma nikt, prócz pana hrabiego. A dlaczego nie chciał zdjąć maski? Łatwiej mu było tak bez zaproszenia dostać się tutaj. Chciał zobaczyć panią hrabinę bez jej wiedzy. W pewnej chwili, kiedy koło pani przechodził, pani przemówiła do niego, a on sklonił się głęboko.

— Nie odpowiedział mi, dziwna rzecz...

— Przytem nie robił wrażenia zaproszonego gościa. Spacerował jak we własnym mieszkaniu. Można by przypuszczać, że znał każdy kątek w tym domu. Ja wiedziałam dobrze, że pan hrabia wróci kiedyś. Pan Bóg nie chce, żeby pani hrabina całe życie płakała!

— Moja dobra Marie... Zamiast snuć te fantastyczne obrazy, zrobimy lepiej, idąc spać. Dobranoc. Obudź mnie na śniadanie...

Ale Madame de Lerne nie mogła zasnąć.

Słowa garderobiany brzmiały jej w uszach, mózgu... sercu. Jeśliby wieści, jakie miała, były prawdziwe, jeżeli M. de Lerne rzeczywiście dosyć ma kochanki i wspomnieniem szczęścia dawnych lat wiedziona, pragnęła wrócić do domu, w którym ona, zdradzona wciąż jeszcze nań czekała?

Potrząsnęła głową z powątpiewaniem, uprzytamniając sobie osobiwą maskę, przechadzającą się po salonie i ani jednym słowem nie odzywającą się do nikogo.

Te oczy szczególnie, ciemne, błyszczące...

ce oczy, niepokoiły ją. Czuła jeszcze ich przenikliwe spojrzenie, które w pewnej chwili z taką siłą na jej obliczu spoczęło. Nie przemówił do niej, tylko się przed nią sklonił głęboko. Jeśli to on był jednakże, dlaczego z jednym choć słówkiem do niej się nie zwrócił. Nie zapomniała dźwięku jego głosu, który w chwilach upojenia brzmiał tak mamiąco i słodko.

Gwiazdy gasły powoli. Chłód poranka przeniknął do pokoju. Drgnęła. Gniewna na siebie za zwoźnicze marzenia, zamknęła okno.

W tejże chwili rozległ się jakiś szmer.

Obejrzała się.

Tak. To nie sen. Słyszała wyraźnie kroki w salonie.

— Kto tam? — zawołała.

Milczenie.

Poszła w stronę salonu, otworzyła drzwi i krzyknęła.

Zamaskowany mężczyzna stał przed nią, z jedną ręką na aksamitnej masce, a drugą na poręczu fotelu. Patrząc nań, wszystko, co garderobiana mówiła, rzuciło jej się w oczy. Ta figura, ten sposób trzymania się, spojrzenie...

Niema wątpliwości: Miała przed sobą swego ukochanego małżonka. Wrócił i nie śmiał dać się poznać...

Dlaczego nie zdejmie wstrętnej maski, kryjącej jego drogie oblicze?

Madame de Lerne podbiegła doń. Zamierzała cofnąć się, lecz ona, chwyciwszy maskę, ściągnęła mu ją ruchem gwałtownym.

Ujrzała bardzo młodą, bladą, niesamowitą twarz bandyty z dwójgiem oczu jak żuźle gorejących. Chciała krzyknąć, o ratunek wołać, ale głos ugrzązł jej w krtani. Mężczyzna bowiem, rzuciwszy się na nią, ścisnął ją za gardło. Po kilku sekundach szamotania się, padła martwa na posadzkę...

Wieczorne pisma w kronice lokalnej podały wiadomość, która narobiła wielkiego hałasu w Paryżu:

„Jedną z najdystyngowańszych dam francuskiej arystokracji, hrabinę de Lerne znaleziono dziś rano bez życia w jej ubieralni. Płaszcz weneckiego szlachcica przykrywał zwłoki. Przyczyną morderstwa — kradzież: wszystkie klejnoty hrabiny, których wartość obliczają na setki tysięcy, znikły, jak również pięćdziesiąt tysięcy franków gotówka. Madame de Lerne wczorajszego wieczora urządziła u siebie wielki bal maskowy. Zaproszonych gości zwróciło uwagę dziwne zachowanie się jakiegoś weneckiego szlachcica, który przez całą noc nie zdjął maski. Zarzucony na zwłoki płaszcz każe domyślać się, że nieznanomy ów był mordercą...

Przed paru tygodniami zupełnie podobny wypadek zdarzył się w Londynie; należy przypuszczać, że oba straszne morderstwa są dziełem jednej i tej samej tajemniczej bandy zbójckiej. Energiczne śledztwo w toku“.

Hum. Jotsaw.



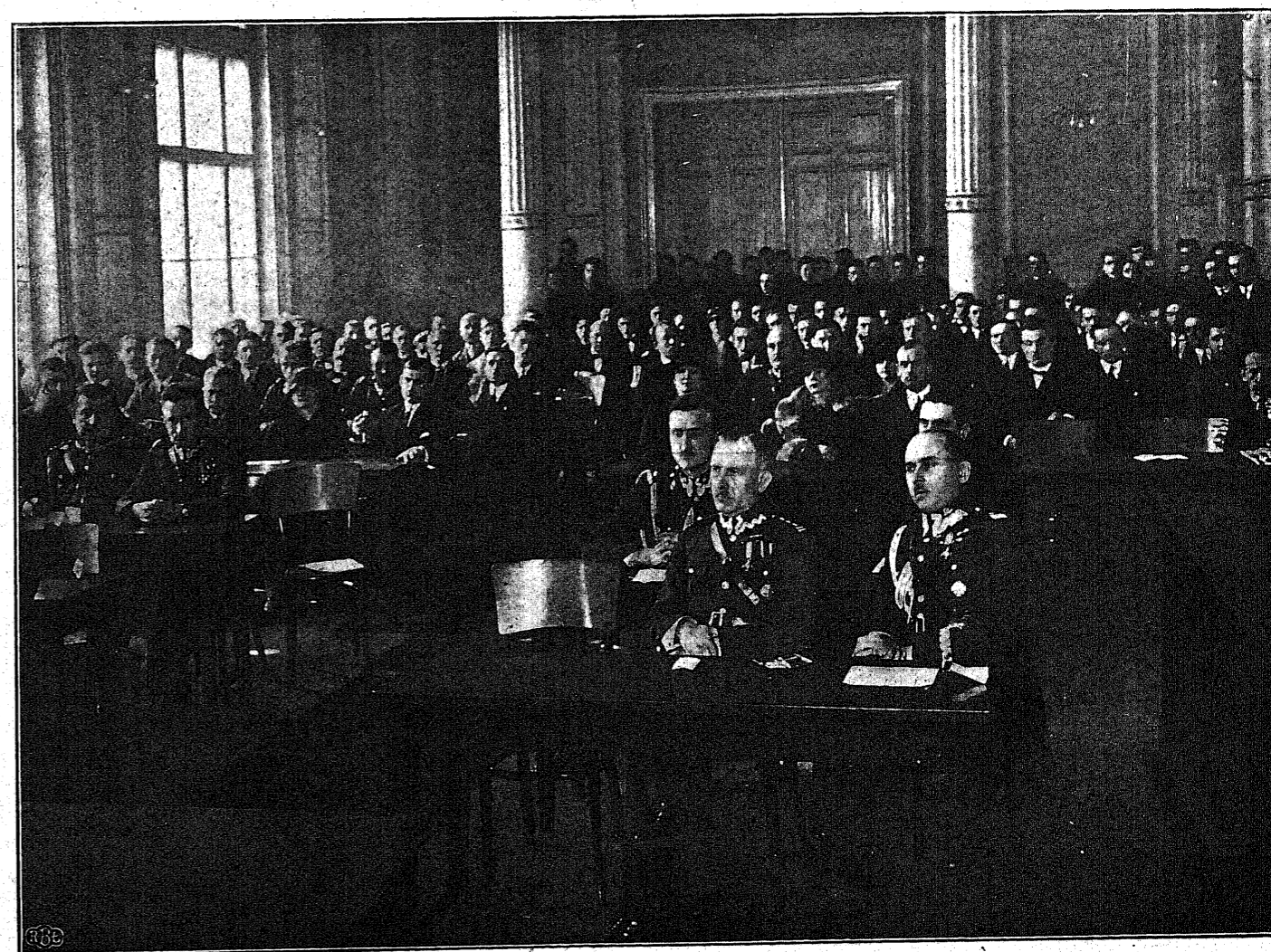
DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok IV.

Łódź, dnia 13 marca 1927 roku.

Nr. 11.

Zjazd Związku Strzeleckiego w Łodzi.



W niedzielę, dnia 6 b. m., w sali Rady Miejskiej w Łodzi, przy ul. Pomorskiej 18, odbył się zjazd delegatów Związku Strzeleckiego Okręgu Łódzkiego przy udziale 240 przedstawicieli oddziałów Związku. W obradach zjazdu wzięli również udział przedstawiciele władz wojskowych i samorządowych.

Fot. A. Meyer

Teatr

Moller w „Narodowym”. — Kryzys teatru w Polsce. — „Ludzie”. — Meyerhold i jego teatr.

Po „Zbójcach” — Schillera, omówionych w jednej z naszych kronik, wystąpił Teatr Narodowy z kapitalną premierą Molierowskiej „Szkoły żon”, uzupełniając komedię dowcipną „Krytyką szkoły żon”, pióra samego autora. Pomijając historyczną doniosłość „Szkoły żon”, znaczącej w twórczości Moliera zdecydowane przejście do komedii charakterów, sztuka ta, uderzająca swą genialną prostotą i przejrzystą głębią, jest jednym z najgłośniejszych tytułów do sławy Moliera, jako przedziwnie wierny i szczegółowy obraz walki uczuć pomiędzy młodością, a — wiekiem dojrzałym. Ta właśnie abstrakcyjna niemal wszechludzkość i bezczasowość stanowią nieprzemijający walor „Szkoły żon”, jak zresztą i wielu innych komedij Moliera, ogarniających ramionami swych pomysłów wszystko, co jest ludzkie i ludzkim pozostanie. Prostość, naiwność, rzeczby można — tematu kompensuje się głębią i powagą poruszanych problemów, których w „Szkoła żon” personifikacją są: Arnolf i Anusia.

Rolę Arnolfa wziął na swe zawsze młode barki p. Solski, traktując bohatera komedii Molierowskiej w sposób głęboko indywidualny, skupiając w tej postaci więcej cierpienia niż komizmu, więcej liryzmu niż komedijowej groteski. Dzięki kreacji p. Solskiego, „Szkoła żon” i jej kościelny zyskały na wyrazie i sile bezpośredniości, nabrały zacieśniających barw i kształtów. Debiutująca w roli Anusi młoda artystka p. Zaklicka, pomimo niebezpieczeństw, związanych z samą osobą partnera, wybrnęła pomyslnie z wszelkich trudności, co stanowi doskonałą zapowiedź dalszych sukcesów scenicznych.

Całość przedstawienia ujęta została w duchu szlacheckiego klasycyzmu, z pominięciem jednak jego surowości i anachronistycznych dziś niektórych cech szczególnych. Realizm reżyserski nie ułaski się pewnych stylizacyjnych domagań inscenizatorskich i dekoratorskich, co zresztą interesującemu pod każdym względem widowisku wyszło jedynie na dobre.

O kryzysie teatru w Polsce wiele się dziś czyta i pisze. Jeden z dzienników warszawskich podjął ostatnio ankietę na ten temat, zapoczątkował zaś ją wywiad z p. W. Horzycą, znanym literatem i b. kierownikiem zasłużonego Teatru im. Bogusławskiego. Winę widocznego powszechnie kryzysu przypisuje p. Horzyca — w odróżnieniu od wielu innych — nie publiczności i nie

autorom, lecz wyłącznie kierownikom teatrów. Polska — mówi nie bez słuszności p. H. — szczerzyć się może wielkim repertuarem, świetnymi pracownikami teatralnymi i dobrą publicznością. Mając te warunki, chodziłoby o stworzenie odrębnego teatru polskiego, którego horyzonty i perspektywy spostrzegali już Mickiewicz, głosząc w „Wykładach literatury słowiańskiej”, że dla monumentalnego dramatu polskiego potrzeba sceny monumentalnej, posiadającej własne środki ekspresji (zbliżone do stosowanych ostatnio przez reformatorów „przestrzeni scenicznej”). Niestety, zdaniem p. H. — teatry polskie nie idą drogą śmiałych poszukiwań w kierunku stworzenia własnego

stylu, lecz — unikając, jak ognia, wszelkich „eksperymentów”, karmią się echami i odblaskami „reinhardtizmu”, upatrując w nim niemal alfę i omegę sztuki teatralnej. „Czyż należało się dziwić — kończy swe niepozbowione słuszności uwagi p. H. — że publiczność unika tych wszystkich przybytków Reinhardta, gdzie leniwe światło przelewa się po ziewającej scenie”.

Szerokie omówienie poruszonego w ankiecie zagadnienia jest oczywiście bardzo wskazane. Na wagę i aktualność jego wskazywano ostatnimi czasy coraz częściej, że wspomniemy tu tylko publikacje Morstina, Zawistowskiego, Brumera, Grzymały-Siedleckiego. Należałoby sobie życzyć, aby z



Jeden ze szlagierów bawiącego na gościnnych występach w Łodzi warszawskiego teatru „Qui Pro Quo” p. t. „Karuzela Polityczna”.

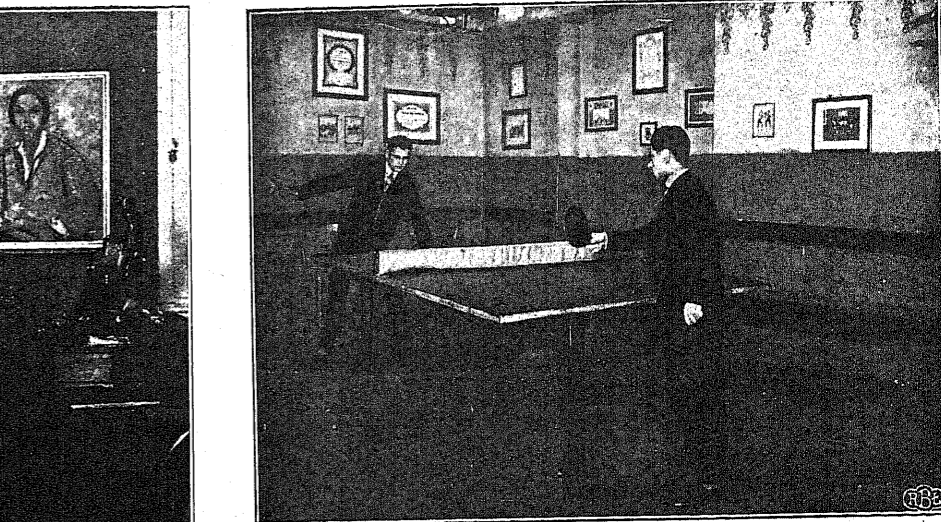


Pożegnanie karnawału w Casynie Oficerskim w Łodzi.

Fot. A. Meyer.



P. Adam Grzymała-Siedlecki w Łodzi po prelekcji wygłoszonej w dniu 6 b. m. w Miejskiej Galerii Sztuki na temat „Fredro—ojciec komedii polskiej”.



Mistrzostwo nowej gry sportowej „Ping-Pong” w Łódzkim Klubie Sportowym. Gra dwójkowa.

Fot. A. Meyer.

tego skłóconego często chóru głosów i opinij udało się wypośrodkować rzeczy, niepodlegające zakwestjonowaniu, i — biorąc je za punkt wyjścia — ruszyć w drogę, wiodącą do przełamania „kryzysu w teatrze polskim”.

Powstałe niedawno w Krakowie Tow. Nowego Teatru dało o sobie pierwszy znak żywota, wystawiając w „Bagateli” pod reżyserją p. Piekarskiego, „Ludzi” — Hasenclevera. Nienajlepsza ta sztuka autora „Jenseits” zawiodła oczekiwania spragnionych teatralnych sensacji. Takie „oryginalne” pomysły, jak zastąpienie dekoracji i mebli grupami statystów, odzianych w najwyklesze ubrania, nie tylko nie dodały blasku reżyserskim wysiłkom p. Piekarskiego, lecz przeciwnie — przyczyniły się do kompletnego „pogrzebania” sztuki. Może następane próby nowatorów krakowskich powiodą się lepiej. Czekajmy...

Skoro się już tak złożyło, że w dzisiejszej kronice mówimy o nowatorach i reformatorach, wspomniemy też o ciekawym artykule rosyjskiego teatrologa prof. Gwozdjewa, poświęconym działalności Ws. Meyerholda, a publikowanym w warszawskiej „Epoce”. O Meyerholdzie, który istotnie zajmuje poczesne miejsce w szeregu pracowników teatralnych powojennej Rosji, pisaliśmy już niejednokrotnie. A oto jak określa zasługi tego śmiałego niewątpliwie reformatora na polu inscenizacji — profesor Gwozdjew: „Meyerhold dotknął każdej dziedziny pracy teatralnej i przekształcił ją — stosownie do postulatów epoki. Zamiast nieruchomej malowanej dekoracji, umieścił na scenie maszynę, która dynamicznie scenicznej dała możliwość rozwoju. W ten sposób

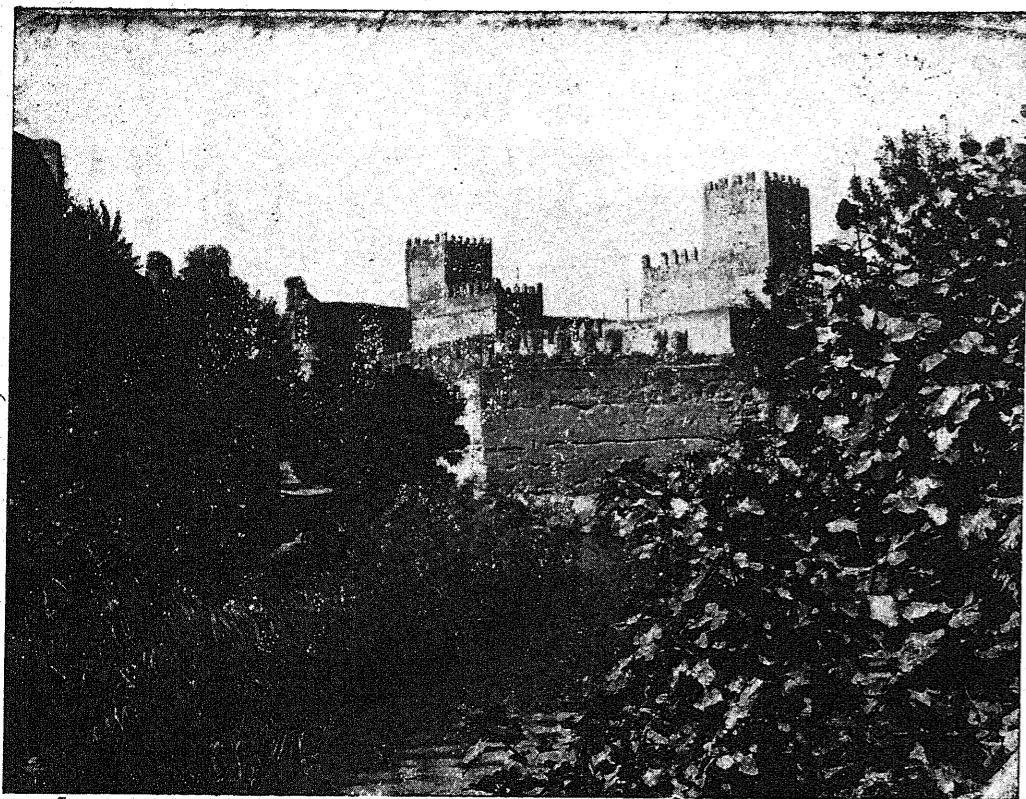


Oddział żołnierskiej Straży Ogniowej przy 10 pułku artylerji polowej w Łodzi, z dowódcą oddziału, porucznikiem Waszkiewiczem i instruktorem-specjalistą na czele.

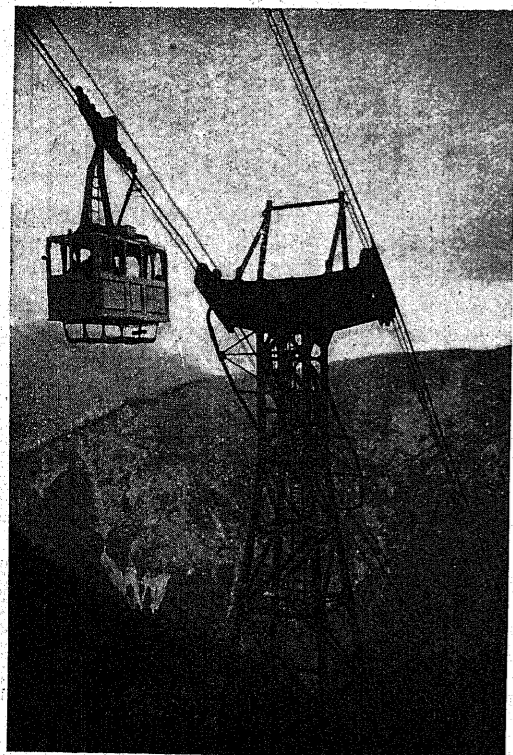
zniszczył pasywny charakter teatru. Scena stała się czemś żywym, razem ze znajdującymi się na niej przedmiotami, i służyła nie tylko za oprawę akcji dramatycznej. Równocześnie używał Meyerhold efektów świetlnych i muzycznych... Światło nie służyło już tylko do podniesienia nastroju, ale stało się czynnikiem akcji dramatycznej... To samo stało się z muzyką... Równocześnie z ogólnym przekształceniem sceny dokonywała się praca nad zastosowaniem nowych metod w grze aktorskiej. Meyerhold uczył aktorów poruszać się, panować nad swym ciałem, grać nie tylko z ludźmi, ale i z przedmiota-

mi i kostjumami, wreszcie pracować zgodnie ze skomplikowaną partyturą widowiska...” Jak wyteżona i drobniagowa jest praca inscenizacyjna Meyerholda, o tem świadczy fakt, że na repertuar jego w ciągu dwóch lat (1924 — 25) składają się zaledwie — trzy sztuki („Las” — Ostrowskiego, „D. E.” — przeróbka powieści Erenburga i „Mandat” Erdmanna). W ubiegłym roku pracował Meyerhold nad „Rewizorem” — Gogola, którego wystawienie będzie niewątpliwie nowym triumfem zalecanych i stosowanych przez Meyerholda metod inscenizacyjnych.

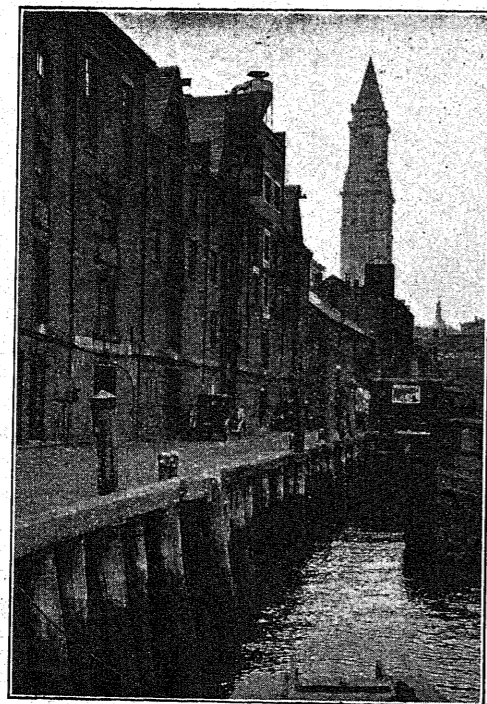
Delta.



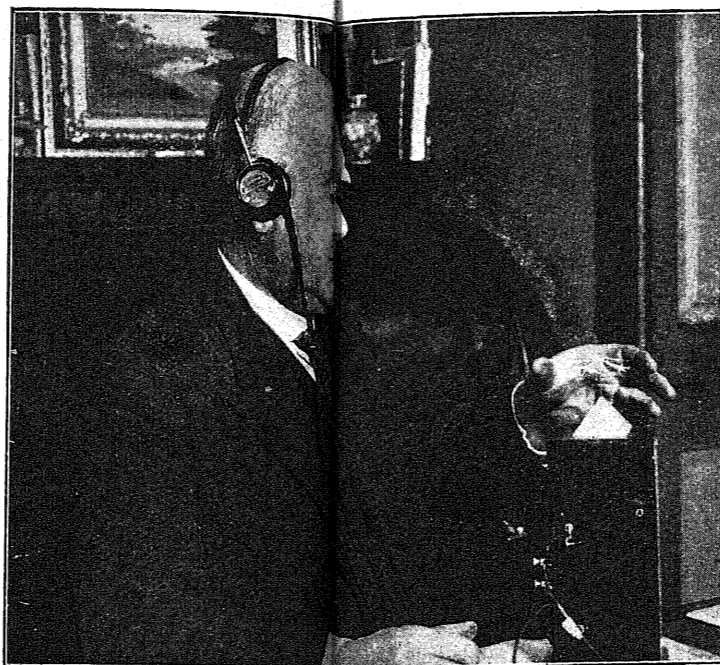
Ognisko islamitów, Fez, miasto 700 meczetów i licznych szkół mahometańskich posiada wspaniałe twierdze, z których najstarszą widzimy powyżej.



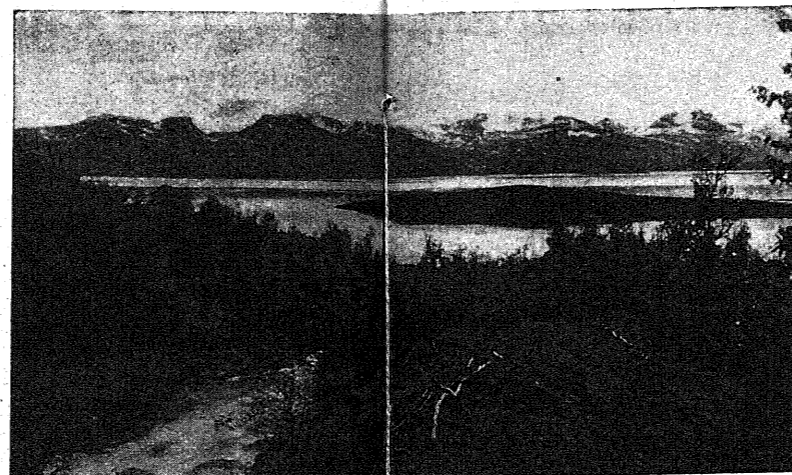
Napowietrzna kolej w Alpach.



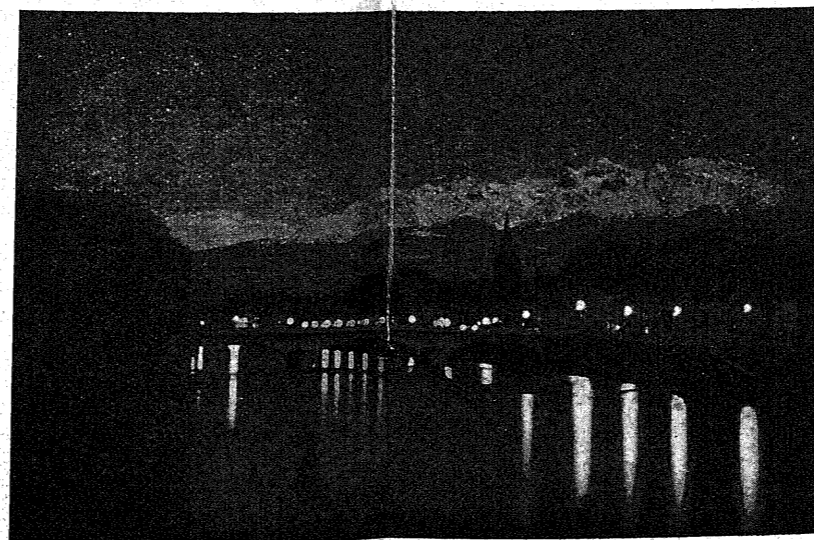
Jedna z nadbrzeżnych ulic w Bostonie; w oddali drapacz chmur wysokości 498 stóp.



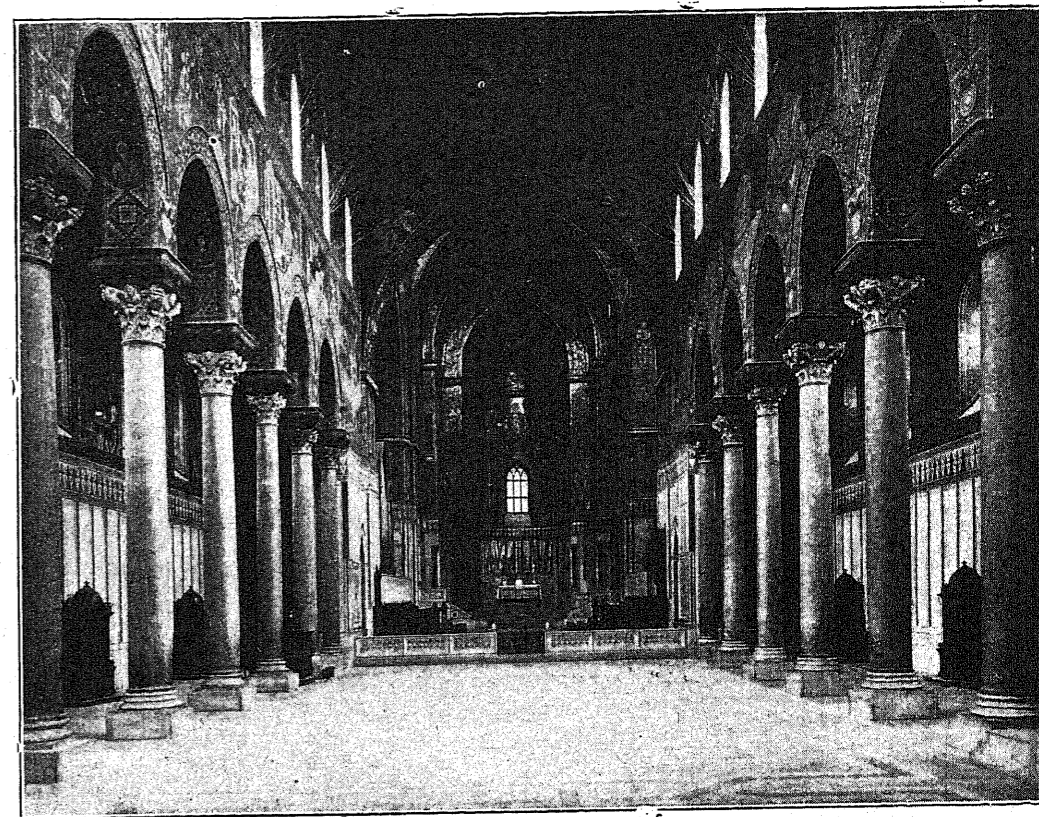
Próby nawiązania komunikacji z Marsem. Dr. Robinson w chwili nadawania pierwszej depeszy.



Fragment z krajiny białych nocy, Laponii.



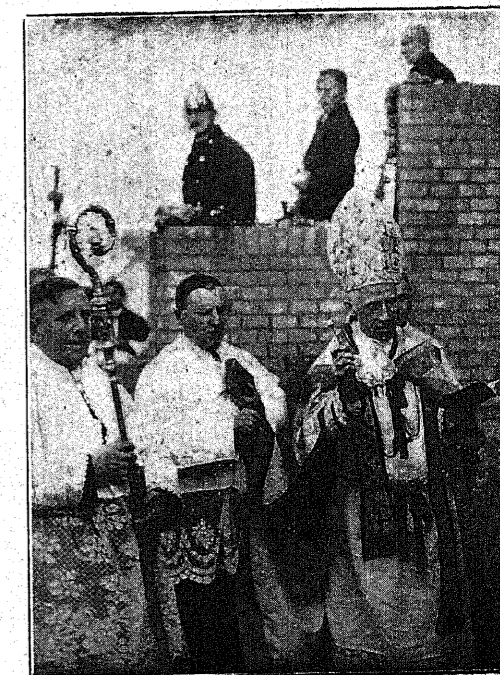
Starożytne Gratianopolis, obecnie stolica francuskiego departamentu Isère, miasto Grenoble w nocy.



Handlowy ośrodek Ameryki Północnej, Montreal, miasto wschodniej Kanady, posiadające olbrzymią szczególnie zasługującą na uwagę katedrę, zbudowaną w roku 1829, wewnątrz której widzimy na rycinie powyższej.

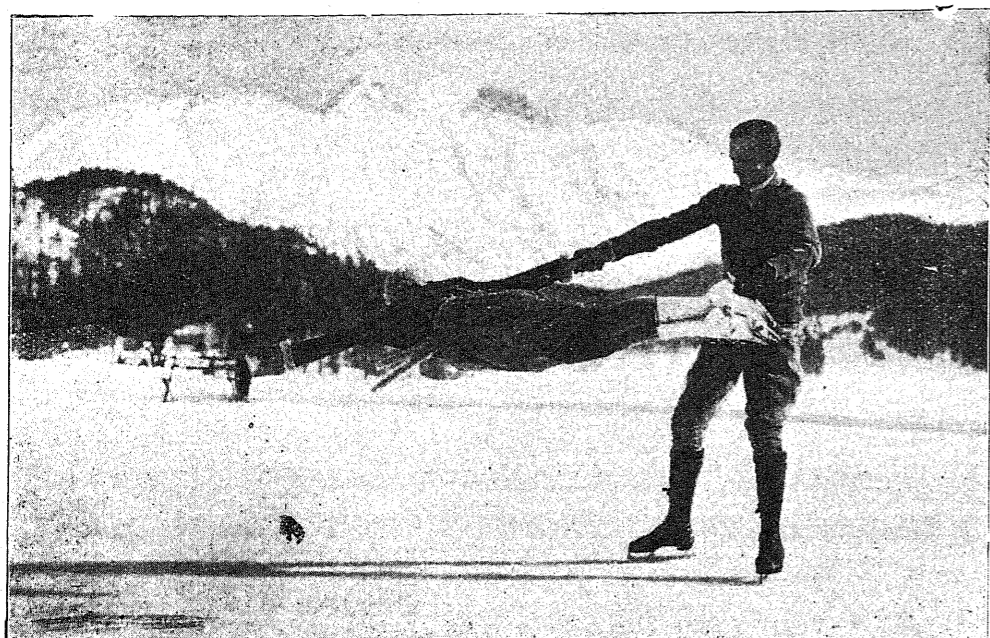


Posąg przed świątynią Kali w Branbananie na wyspie Jawie.

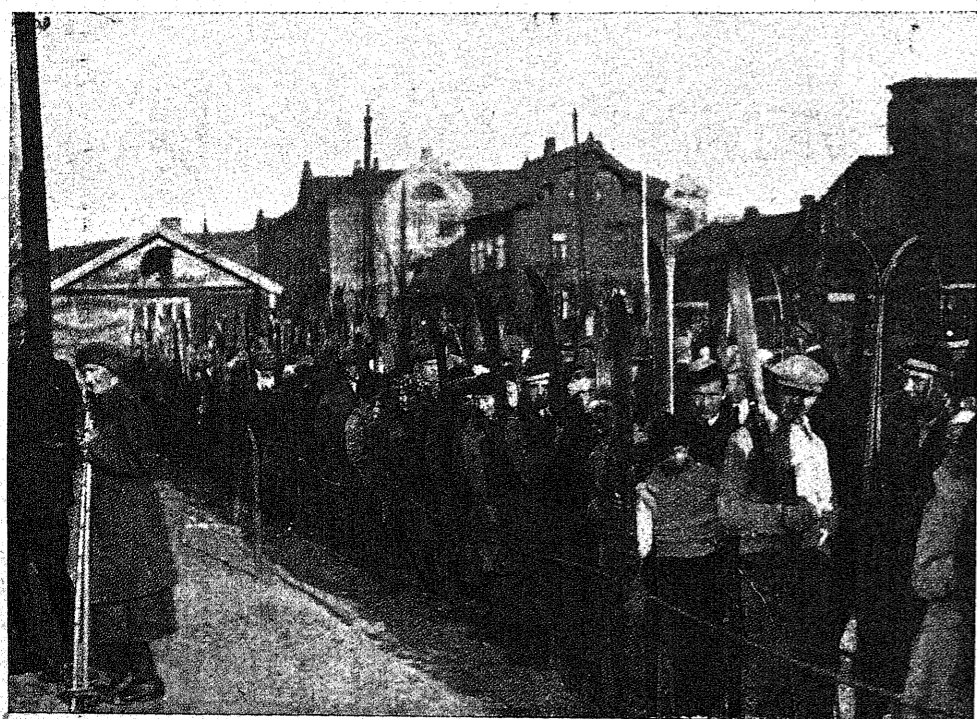


Poświęcenie kościoła polskiego przez nuncjusza papieskiego w Budapeszcie.

Ostatnie rozkosze zimy.



Najzdolniejszy łyżwiarz świata, Taylor, z partnerką w efektownej ewolucji na lodzie.



Wiedeńczycy w drodze do Holmenkol „białego raj” narciarzy.



P. Józef Sosnowski, reżyser sceny w Krakowie.



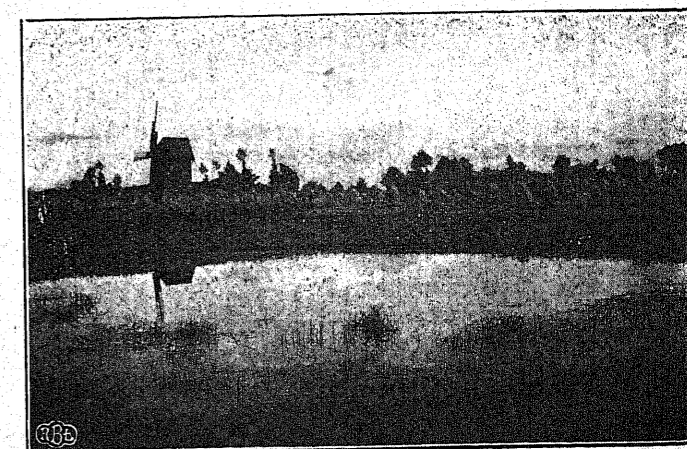
Fascynujący film wyświetlany obecnie w kinoteatrze „Czary” p. n. „Pociąg błyskawiczny Nr. 2420”.



Jeden z fragmentów „Pociągu błyskawicznego Nr. 2420”.



Na ulicach Kairu. Obraz pędzla art.-mal. A. Behrmana.



Jeszcze z Wystawy Miłośników Fotografii Artystycznej w Miejskiej Galerji Sztuki.

Pan...? Pan...?

Ravenot był od dziesięciu lat inkasentem Banku Ziemskiego i cieszył się pełnym zaufaniem swych przełożonych. Nigdy w niczem nie przewinił — wzorowy urzędnik!

Kiedy mu czasem mówiono:

— Ależ to musi być wielka pokusa mieć przy sobie takie wielkie sumy! — odpowiadał zawsze niedbale:

— Jakto? Pieniądze, które do nas nie należą, nie są pieniędzmi!

W całym sąsiedztwie uchodził za człowieka bez zarzutu i zasięgano zawsze w kłopotach jego rady, stosując się do niej bezapelacyjnie.

Pewnego wieczoru, po zainkasowaniu po ważnych kwot w ciągu dnia, nie wrócił do swego mieszkania. Ponieważ nikomu nie przyszło na myśl podejrzewać go o ucieczkę z pieniędzmi, przypuszczano, że stał się ofiarą zbrodni.

Puszczona w ruch policja, daremnie szukała jego śladów, podczas gdy on zewnętrznymi bulwarami śpieszył na brzeg Sekwany. Pod jedną z arkad mostu, przebrał się w cywilny garnitur, który poprzedniej nocy tam ukrył, 200,000 franków do bocznej kieszeni włożył, swoją liberję urzędniczą wraz z portfelem i dużym kamieniem zwinawszy w kłębek, wrzucił do rzeki i wolnym krokiem, jak gdyby nigdy nic, wrócił do miasta.

Przespawszy się w jednym z podrzędnych hoteli, nazajutrz z rana włożył banknoty do grubej koperty, zapieczętował pięcioma pieczęciami i poszedł do notariusza.

— Mam prośbę do pana — rzekł — wybieram się w daleką i długą drogę, czy nie zechciałby pan wziąć na przechowanie tę kopertę z memi osobistymi dokumentami?

— Naturalnie. Dam panu odpowiednie pokwitowanie.

— Jestem sam na świecie, nie mam krewnych, ani przyjaciół. Podróż moja jest do pewnego stopnia niebezpieczna. Mogę pokwitowanie zgubić lub... mogą mi je ukraść... Niech pan dokumenty schowa między swoje ważne papiery, a kiedy wrócę wystarczy skoro powiem moje nazwisko panu lub jego zastępcy. Proszę napisać na kopercie, że tylko w ten sposób papiery są do odebrania... Pan nic nie ryzykuje tylko ja...

— Racja. Pańskie nazwisko zatem?

— Duverger, Henryk Duverger — odparł Ravenot bez namysłu, na chybił trafił.

Wyszedłszy na ulicę, odetchnął z ulgą.

Zdobyc w bezpiecznym miejscu. Po odbyciu czterech do pięciu lat więzienia, będzie bogatym człowiekiem. Lepiej tak, aniżeli całe życie chodzić od drzwi do drzwi, inkasując pieniądze. Zamieszka później na wsi jako pan Duverger... Spokojnie i wygodnie spędzi ostatnie lata... otoczony szacunkiem i uznaniem... Miał bowiem zamiar

dużo dobrego swemi pieniędzmi ludziom świadczyć...

Przeczekawszy jeszcze dwadzieścia cztery godziny, oddał się sam w ręce policji, wolał bowiem powiedzieć prawdę, to znaczy przyznać się do kradzieży pieniędzy, ale ani podczas przesłuchania, ani na rozprawie sądowej nie można było zeń wydobyć, co zrobił z 200,000 franków. Powtarzał w kółko:

— Nic więcej nie wiem. Zasnąłem na ławce i obudziwszy się, nie znalazłem przy sobie pieniędzy.

Dzięki nieposzlakowanej dotychczas przeszłości skazano go tylko na pięć lat więzienia. Wysłuchał wyroku, nie drgnawszy. Liczył teraz trzydzieści pięć lat, mając lat czterdzieści będzie wolny — i zamożny...

W więzieniu, gdzie karę odbywał, zachowywał się bez zarzutu, służąc wszystkim wzorem, tak jak dawniej, na swym stanowisku służbowym.

Przyszła wreszcie dzień wolności. Odano mu węzełek z rzeczami; wziął go niedbale i wyszedł z więzienia, jedyną myślą opanowany, jak najrychlejszego udania się do notariusza. Po drodze wyobrażał sobie przebieg sprawy:

Wejście do biura, spyta o notariusza, stanie przed nim... Ciekawa rzecz czy go pozna? Pięć lat więziennego życia, to nie byle co!

Spojrzał ukradkiem w jedno ze zwierciadeł wystawowych: Tak, postarzał się... notariusz napewno go nie pozna... Ale nic nie szkodzi. Podwoi to oryginalność sytuacji.

— Czego pan sobie życzy? — spyta notariusz.

— Chciałbym zabrać swój depozyt, który przed pięciu laty u pana złożyłem.

— Jaki depozyt? Na czyje nazwisko?

— Na nazwisko... Ravenot zastanowił się: dziwna rzecz, nie mogę sobie przypomnieć nazwiska, które podałem — mruknął.

Nateżył pamięć — daremnie!

Musiał usiąść na najbliższej ławce, czując nagle omdlałość w kolanach.

— No, no, równowagi! — uspakajał samego siebie. Pan...? pan...? na jaką literę zaczyna się to nazwisko?

Całą godzinę tak przesiedział, usiłując uprzytomnić sobie w umyśle zakłętę słowo! Litery skakały mu przed oczami, zgłoski niemal chwycił, a za chwilę wszystko w mgłę gineło.

Zaniepokoił się wreszcie poważnie, ciarki przeszły mu po plecach, mięśnie się ściągnęły, ręce drżeć poczęły. Wargi do krwi zagryzł. Zaprzagnął wyć i pastwić się nad kimś!

Tupnął nogą, wstał z ławki, mówiąc głośno do siebie:

— Co mi pomoże tak się dreczyć? To tylko pogarsza sprawę. Najlepiej przestać myśleć o tem, a nazwisko samo do mózgu zniemacka przyjdzie.

Daremnie jednak usiłował zwracać uwagę na przechodniów, wystawy sklepowe, ruch uliczny. Podczas gdy patrzył nic nie widząc, słuchał nie słysząc, dźwięczało mu w uszach bezustannie:

— Pan...? pan...?

Noc zapadła. Ulice opustoszały. Wyczerpany do cna zaszedł do hotelu, kazał sobie dać numer, padł na łóżko w ubraniu i długie godziny jeszcze łamał sobie głowę, nim wreszcie nad ranem zapadł w sen kamienny. Gdy się obudził, pokój tonął w jaśności.

Wyciągnął się z zadowoleniem. Nagle uprzytomnił sobie sytuację:

— Pan...? pan...?

Nieznane dotychczas uczucie trwogi przejęło go na wskroś. Śmiertelna obawa na myśl, że nigdy już sobie nazwiska tego nie przypomni! Nigdy!

Wstał, ubrał się i wyszedł na ulicę. Godzina za godziną włóczył się bez planu po mieście, raz po raz przechodząc koło domu notariusza.

I znowu nadszedł wieczór. Chwycił się oburącz za głowę, jęcząc z cicha:

— Oszaleję!... Oszaleję!...

Zaciśniętymi pięściami uderzył się w czoło, aż się zatoczył jak pijany ku latarni. Już nie trwoga, ale szal i wściekłość miotają nim. Zdawało mu się, że wokoło słyszy śmiech szatański, że ludzie mijający go palcem nań wskazują; ruszył z miejsca i szybkim, coraz szybszym krokiem biegł przed siebie, potrącając przechodniów i powtarzając nieprzytomnie:

— Pan...? pan...?

U nóg jego płynęła Sekwana; mętne, zielone nurty odbijały gwiazd miliony. Ekając i głośno wołając:

— Pan...? pan...?

Potoczył się po schodach ku rzece i padł na brzeg, zanurzając rozpaloną głowę i ręce w wodę dla ochłody.

Dyszał ciężko. Żywioł wodny ciągnął go ku sobie coraz bliżej, wabił jego palające oczy, rozwichrzone myśli, całe jestestwo...

Uczuł nagle, że się ześlizguje po pochylonym brzegu... i nie mogąc utrzymać się — wpadł do rzeki. W zimnej, jak lód wodzie oprzytomniał; podjął walkę z prądem, wyrzucił w górę ramiona, głowę wyprężył — zatonął w falach — na chwilę wypłynął na powierzchnię i w nagłym wysiłku mózgowym z oczami z orbit wysadzonymi wrzasnął:

— Mam...! Ratunku...! Duverger! — Du....

Ale wybrzeże Sekwany było puste. Woda pluskała o słupy mostu. Ze sklepień luków stłumione echo nazwiska rozległo się w powietrzu. Czerwone i białe światełka tańczyły na ciemnej tafli rzecznej. Jedna mała fala bystrzejsza od swych siostrz sychym łoskotem uderzywszy o brzeg zapieniła się na samotnej plaży.

Majestat ciszy w około.

Tłum. Jotsaw.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok IV.

Łódź, dnia 20 marca 1927 roku.

Nr. 12.

Łódź pod znakiem strajku w przemyśle włókienniczym.



Na skutek nieuwzględnienia wysuniętych przez związki zawodowe robotników włókienniczych żądań podwyższenia zarobków o 25 procent, w dniu 9 marca r. b. wybuchł strajk we wszystkich fabrykach przemysłu włóknistego w Łodzi. Zdjęcie nasze przedstawia tłumy strajkujących, biorących udział w jednym z wieców poselskich na polesiu Widzewskim. Fot. A. Meyer.